

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Helena Mniszkówna

TREĐOWATA

POWIEŚĆ
Tom pierwszy

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

I

Dniało. Wstawał świt.

Jasna smuga na wschodzie rozszerzała się dalej i dalej. Z różowej wpadała w tony blade, coraz świetlistsze, prawie przezryste, haftowane na tle złotogłowiu.

Powietrze, pełne surowych powiewów nocnych, wchłaniało słoneczne smugi, wilgocią mgły opadając na dół, z każdą chwilą było rzeświejsze, jak brylantowe.

Zbudzone ptaki dzwoniły niezliczoną ilością świergotów. Drzewa, otulone puchami zieleni majowej, szemrały na powitanie jutrzeńki – przedniej straży słońca.

Pałac w Słodkowcach stał cichy, błyszcząc w różowych topielach wschodu białymi murami ścian i jaskrawą zielonością strzyżonych lip, które wieńcem stroiły fasadę.

Za ogrodem i parkiem przedzwieczał już dzwonek gospodarski. W ciszy poranku brzmiał donośnie, kołatał, roznosząc echo po izbach mieszkań folwarcznych. Ostрым głosem zrywał czeladź z pościeli do roboty.

Mieszkańców pałacu dźwięk ten nie obudził.

Po chwili jednak na lewym skrzydle parterowym otworzono weneckie okno. Świeży oddech wiosny dmuchnął na delikatne zasłony szyb, muskając puszyste sobolowozłote włosy Stefci Rudeckiej, ciekawie wychylonej na świat.

Była w białiznie, z warkoczem trochę roztarganym. Obudził ją odgłos dzwonka i kukulki wołającej w parku.

Dziewczyna podskoczyła do okna.

Ranek zachwycił ją, powietrze orzeźwiło, wciągała je w piersi z lubością.

Widok kwiatów, pokrytych blaskiem rosy, świergot ptaków oczarował ją, rozmarzył trochę.

Pąsowe usta uśmiechały się majowo jak poranek, ale w dużych fiołkowych oczach pozostał smutek, niezgodny z młodzieńczą postacią i wesołym głosem, jakim zawołała:

– Cudny świat! Już nie zasnę, pójdę do lasu!

Odbiegła od okna i zaczęła się ubierać.

Włosy splotła w warkocz i zwinęła w ciężki węzeł z tyłu głowy; z natury falowały puszysto, osłaniając miękkimi zwojami drobne uszy i kąty ładnie zarysowanego czoła. Narzuciła na siebie skromną suknię z szarego batystu, ozdabiając ją sznurem różowych koralików, błyszczących jak duże czereśnie.

Ubrana, zajrzała do sąsiedniego pokoju. Ciemny od zapuszczonych firanek, wyglądał, jakby sam spał.

Stefcia szepnęła:

– Lucia śpi smacznie. Sama pójdę.

Na palcach przeszła parę pokoi bogato i gustownie urządzonych. W ogromnej sieni pałacowej zatrzymała się bezradnie, ujrawszy ciężkie oszklone drzwi zamknięte na klucz.

Pomógł jej służący, który właśnie szedł po schodach ze szczotkami w ręku. Szeroko otworzył zaspane oczy na jej widok, ale uprzejmie pospieszył odkręcić zamek.

Po chwili wbiegła do parku.

Chodząc po zwirowanych uliczkach, zrywała białe smukłe narcyzy. Liliowy bez w bujnych kiściach opadał z krzaków, rozkołysany, pachnący. Kielichy narcyzów, przeczysto białe, wonne, pełne były chłodnej rosy; żółte oczy kwiatów w czerwonej rzesie wyglądały jak załzawione.

Dziewczyna przychyliła do ust białe czarki i piła te łyżki ze swawolnym uśmiechem.

Pierwsza młodość jej życia i pierwsze poranne blaski słońca złożyły się w potężny hejnał szczęścia, spłynęły do duszy stubarwną tęczą.

Podskakiwała do większych bukietów bzu, strąsając z pachnących pióropuszków kropli deszczu na swe lśniące włosy. W świetle słonecznych jaśni głowa jej migotała niby w srebrzystej rosie.

Z więzią kwiatów wyszła z parku do ogrodu owocowego i tu krzyknęła z zachwytem. Wspaniale przystrojone kwieciami drzewa stały uroczyste. Jabłonie, w różowych pękach, miały wygląd młody, pieszczący wzrok. Wiśnie stały osypane bielą kwiatów, niby szeregi dziewcząt idących do ślubu w białych welonach.

Zapach płynął duszący, gałęzie sypały potoki woni. Słońce malowało złotem kwiaty, wiatr niósł szumy, brzęczały pszczoły. Czasem, oderwany z drzewa, biały motyl unosił się w górę jak strząśnięty kwiat.

Stefcia, upojona zapachem, odłamała parę gałązek wiśniowych, przypinając je do włosów, do paska, i tak ukwiecona, szła wąską uliczką, wysadzoną krzewami porzeczek.

Uliczka wiodła do lasu za ogrodem, zwanego borkiem.

Stefcia odchyłała zroszone gałęzie, okryte nikłym, jakby spłowiałym kwiatem; mnóstwo tych seledynowych liszek zwisało na ciemniejsze liście, tworząc malowniczą grę kolorów. Szary batyst pokrywała błyszcząca mgiełka rosy, przyskała na twarz i ręce dziewczyny, lecz ją to bawiło.

Biegła do małej bramki w sztachetach, otworzyła ją i brodząc w mokrej, obfitej trawie, przeszła skrawek łąki, przedzielającej ogród owocowy od lasu. Wśród wysokich sosen i rozłożystych drzew liściastych zaczęła śpiewać.

Koło nóg jej śmignęła wiewiórka i prędko wskoczyła na drzewo. Ćwierkały wróble, monotonnie stukali dzięcioł.

W pobliskiej olszynie ślicznym sopranem wyśpiewywał słowik, z głębi lasu wołała tenorem kukułka, największa próżniaczka między ptakami. Świat leśny wrzał życiem, pełen szczebiotów, nawoływań, fruwań, pełen chrzęstu igieł sosnowych, szumu leszczyny, dźwięczał, huczał, brzmiał.

Zbudzone echa szły daleko, rozgwarzone, wesole. Uśmiechnięta dziewczyna pławiła się w słońcu, nurzając w kwiatkach i zieleni.

Ale wkrótce jej promienistość znikła. Jakaś chmura zaćmiła młodą jej twarz, matując blask oczu w oprawie bujnych, ciemnych rzęs. Ładne gęste brwi zsunęła na czoło i opuszczając na mokry mech suknię, rzekła z niechęcią:

– Mam się też czego cieszyć!

Przypomniała sobie, że minął miesiąc, jak jest nauczycielką w Słodkowcach.

Jak ten czas długo płynie!

Nigdy nie myślała o zajmowaniu posady, nie potrzebując pracować na siebie. Ale stało się inaczej.

Materialnie nic jej do nauczycielstwa nie zmuszało.

Była córką zamożnych obywateli z Królestwa, którzy oprócz niej mieli jeszcze dwoje młodszych dzieci. Ona kończyła dziewiętnaście lat. Chodząc po lesie Stefcia wspominała okoliczności, jakie ją wygnały z domu,

Piękna postać Edmunda Prątnickiego uwypuklała się głównie i jej dziecinne uczucia dla tego człowieka.

Kiedy powrócił ze szkoły dublańskiej, porwał Stefcie siłą urody. Nie badając treści zakochała się pierwszy raz w życiu, gwałtownie, na ślepo, bez odrobiny prawdziwej miłości. Prątnicki odurzył jej głowę nieco romantyczną i egzaltowaną.

Stefcia, skończywszy pensję w Warszawie, uczęszczała na kursa zbiorowe. Wówczas miała sposobność poznać trochę młodzieży ze sfer uczących się.

Przeważnie byli to chłopcy szlachetni, o idealnych porywach. Stefcia nie wyobrażała sobie innych. Prątnicki wyzyskał jej łatwowierność, a podniecony urodą dziewczyny, chciał ją

zdobyć i maskował się zręcznie. Potrafił nawet zjednywać sobie państwa Rudeckich. I trwała sielanka.

Ale ojciec Stefci, jakkolwiek wiedział, że młodzi wyznali sobie wzajemnie uczucia, jednakże na urzędowe oświadczyzny nie pozwalał. Przeczuwał, że się tu spotkały dwie natury całkiem odmienne...

W piękne barwy Edmunda stary obywatel nie wierzył. Znał „papę Prątnickiego”, a ten w mętach społecznych miał pewne zastosowanie. W swej córce Rudecki widział tyle idealnego zapалу, takie bogactwo uczuć, że z obawą wyczekiwał zakończenia tej sielanki. Nie wątpił, że to nastąpi, i bał się o Stefcię...

Przeczcucia go nie zawiodły.

„Papa Prątnicki”, sprzyjając zamiarowi syna, zaczął jednak z umiejętnością sędziego śledczego wywiadywać się o posag Stefci. Suma kilkunastu tysięcy oburzyła go.

Synowi wytłumaczył bezzasadność takiego związku i namawiał do zerwania. Dowodził mu, że ze swą urodą i nazwiskiem powinien ożenić się z cyfrą stutysięczną.

Stefcia w owym czasie zaczynała już wątpić w oślepiający blask swego ideału. Robiła próby, szukając na nim plam. Jej inteligencja i wrażliwość popychały ją do tego. I nastąpił przewrót.

Okopcone szkło dał jej w rękę sam „papa Prątnicki”, rozpoczął bowiem oświadczyzny jej ojcu od pytania, ile córka dostanie posagu.

Słowa te zniweczyły wszystko. Pan Rudecki odmówił stanowczo, zadowolony, że dość wcześniej odkrył istotne zamiary Prątnickich.

Ale Stefcia, pragnąc upewnić się w szlachetności Edmunda, spojrzała śmiało w jego blask duchowy, czarujący ją pełnią uroku.

I ujrzała zaćmienie na świetlnej tarczy swych marzeń.

Ujrzała wielkie piętna egoizmu i próżności, a zamiast wzniosłych uczuć spostrzegła brutalną naturę, dążącą jedynie do własnego użycia.

Edmund przedstawił się jak ów kwiat krwiożerczy, który urodą i silnym zapachem zwabia ku sobie łatwowierne owady, a gdy złudzone poddadzą się magnetycznej sile, wówczas zamyka nad nimi kielich i bezwstydnie odkrywa prawdziwą wartość wewnętrzną. Zabija owady trucizną swych namiętności, wchłania je, aby żywić się ich kosztem.

Ona była zaledwo na brzegu zdradnego kielicha. Uratowano ją wcześniej od zguby.

Stefcia, myśląc o tym, usiadła na pniu i objąwszy kolana, zwiesiła smutnie głowę.

Pierwszy zawód życia pozostawił w jej duszy wiele gorczy! Dawna, bezgraniczna wiara w ludzi osłabła, znikł zapal do głębokich porywów.

We własnym pojęciu dziewczyna nie czuła się już zdolną do uczuć gorętszych, zapominając, że ma lat dziewiętnaście i bujny temperament.

Delikatny szron pesymizmu osiadł nikłą warstwą na jej idealnych marzeniach, ale zwiększał się, nawet już w Słodkowcach.

Po zerwaniu z Edmundem Stefcia postanowiła wyjechać z domu. Palił ją wstyd i żal, chciała uciec jak najdalej. Śniła o szerokich światach, dalekich przestrzeniach, rwało ją naprzód!...

Powodowana żywą naturą, tworzyła w myślach barwne obrazy, pełne fantazji. Bujała w lśniących wizjach, czując pewną ciasnotę w dotychczasowych warunkach. Po krótkiej walcie wyjechała z ojcem szukać posady nauczycielki. Wszelkie tłumaczenia rodziców nie odniosły skutku. W końcu ulegli sądząc, że to krótkotrwały kaprys, spowodowany pierwszym zawodem życiowym, ale obawiali się o wybór odpowiedniego miejsca.

Szło dosyć trudno. Grymasiła Stefcia i pan Rudecki.

Stefcia wydawała się niektórym paniom za ładną, szczególnie gdy same były pełne pre-tensji lub gdy miały brzydsze córki. Po wielu niepowodzeniach posadę znaleziono. Baronową Elzonowską uroda Stefci nie raziła, przeciwnie – ujęła ją.

Jednakże baronowa spytała dziewczyny, czy nie będzie się nudzić w Słodkowcach, gdyż mieszka tam tylko ona z córką, stary ojciec i również stary rezydent, dawny nauczyciel jej brata. Ale Stefcia pragnęła ciszy, nawet zgodziła się na warunek niepowrócenia do domu na wakacje. Przeraziły ją odległe Słodkowce, jednak coś ją tam ciągnęło.

Pan Rudecki, opowiedziawszy historię poprzedzającą wyjazd córki, prosił pani Elzonowskiej o troskliwą opiekę nad Stefcią, na co otrzymał obietnicę, wypowiedzianą dość wyniośle z odrobiną serdeczności.

Niepokoilo go arystokratyczne pochodzenie baronowej. Arystokracji nie chciał dla córki, wiedząc, że nauczycielka nawet w obywatelskich domach bywa rozmaicie traktowaną. Drżał na myśl, że w wielkopańskim pałacu mogą jego Stefcię obrażać.

Ale wiedział przy tym, że arystokracja rodowa jest wyjątkowo uprzejmą i że prawdziwy wielki pan starożytnego rodu zawsze jest grzeczniejszy od wielkiego pana parweniusza.

Nazwisko baronowej uspakajało pana Rudeckiego. Zauważył w niej typ wielkiej damy, trochę sztywnej, lecz nie pozbawionej sympatyczniejszych stron.

Uczennicę swą Stefcia poznała na miejscu.

Lucia miała rok szesnasty. Dość wątła, wydelikaccona i ładna dziewczynka, o bardzo jasnych włosach i niebieskich oczach, różniła się z matką powierzchownie i usposobieniem. Ze Stefcią zgodziły się. Wkrótce nastąpiła koleżeńska przyjaźń.

Stefcia podniosła się z pnia i poszła w głąb lasu.

– Czy ja tu wytrwam do końca? Oj, wątpię! – szepnęła.

Jej miłość do Prątnickiego, błyskotliwa i wątła jak motyl żyjący krótko, zgasła. Niepokoiło ją teraz coś innego. Wszyscy byli dla niej dobrzy, szczególnie stary dziadek Luci, pan Maciej Michorowski, typ magnata, ale miły typ. Okazywał on jej wiele serca, nazywając Ste-nią. Mówił, że mu takie spieszczenie jej imienia przypomina dobre czasy z młodości. Stefcia nie wiedziała, jaki to rodzaj wspomnień, ale czuła dla starca wdzięczność za sympatię i oj-cowską dobroć. Nie lubiła jego wnuka, właściciela Słodkowic, młodego ordynata Waldemara Michorowskiego. Mieszkał o dwie mile w ordynacji Głębowiczach i w Słodkowcach bywał często. Nie ominął nigdy sposobności, aby się z nią nie drażnić zuchwale. Ile razy on przyjeżd-żał, Stefcia wpadała w najgorszy humor, złośliwe jego zaczepki zbywając milczeniem lub gniewem.

– Ten mnie zmusi do opuszczenia Słodkowic – myślała z żalem.

Stefcia, słysząc o nim same pochwały, zdziwiła się.

– Więc tylko dla mnie jest takim?... Przypomina Prątnickiego, ale po zdemaskowaniu.

Ten się nie krępuje, nie udaje idealnego; brutalność swej natury odsłania jawnie. A co lepsze: czy świat złudzeń, czy świat marzeń, czy świat rzeczywistości?... To wszystko jak kwiat o pięknej barwie i czarownej woni.

Barwa – to marzenie.

Woń – to złudzenie.

Rzeczywistość – to prosta łądyga i szara ziemia, z jakiej wyrasta.

Młody Michorowski jest właśnie rzeczywistością, bez upiększeń.

Stefcia biegła w lesie, unosząc się własnymi myślami.

Każda sosna, polanka, nawet wiewiórki i kukulka przypominały jej Ruczajew i tęsknota do domu rosła... Pierwszy raz przerażona zapytała siebie, jak mogła zgodzić się na warunek, aby na wakacje nie powracać do rodziny.

W bagnistym zakątku leśnym znalazła mnóstwo niezapominajek, jaskrów, gorąco żółtych pełników łąkowych i ze łzami w oczach zaczęła je zrywać. Całowała niezapominajki, bo jej przypominały olszynkę ruczajewską.

Z pękiem zroszonych kwiatów zawróciła do ogrodu.

Słońce, wzniesione już wysoko, wsiąkało w szczelinki pomiędzy liśćmi, zrzucając na pu-szystą trawę olbrzymi złoty niewód.

Wtem na drodze środkowej w borku Stefcia ujrzała sunącego wolno jeźdźca.
 Aż drgnęła z gniewu.
 Był to Waldemar Michorowski.
 Jechał na pysznym, czarnym jak lawa wierzchowcu. Ładnie wyglądało na nim zamszowe siodło, żółty czaprak i uzdeczka.
 Koń arabski szedł z fantazją, nogi stawiał klasycznie, z wdzięcznie przegiętą szyją niepokojnie gryzł wędzidło.
 Ordynat siedział jak przymurowany, opięty w elegancki strój do konnych wycieczek, w długich botfortach. Wyglądał zgrabnie i postawnie.
 Jadąc stępą, młody pan, widocznie zamyślony, patrzył przed siebie, uderzając pejczem po końcach butów. Słońce nieciło isierki na błyszczących ostrogach.
 Stefcia cofnęła się za drzewo, lecz nagłym ruchem spłoszyła z gałązki kraszkę. Ptak zatrzepotał skrzydłami, kwiląc głośno.
 Michorowski spojrzał w tę stronę.
 Stefci krew uderzyła do głowy.
 – Zobaczył mię!... Boże!... że też ja go zawsze spotkać muszę!
 Przykłęka po rozsypane kwiaty, udając, że go nie widzi.
 Ale on już podjechał blisko, zdjął czapkę i zawołał żartobliwie:
 – Dzień dobry pani! Co pani tu robi tak rano? Gdzie pani zdobyła tyle kwiatów? Pośród tych drzew jest pani jak rusalka.
 – Toteż spotkałam wilkołaka – odparła z gniewem bez namysłu.
 On podniósł brwi i złośliwie uśmiechnięty odrzekł:
 – Owszem, chcę być wilkołakiem przy pani jako rusalce.
 Stefcia poczerwieniała gwałtownie.
 – Czy pan jedzie do Słodkowic? – zapytała chłodno.
 – Tak. Mam zamiar panią tam odprowadzić.
 – Ja sama trafię do domu.
 – Bardzo wątpię! Przede wszystkim nie udźwignie pani tego zielska. To waży cały pud. Muszę pani ulżyć.
 Zeskoczył z konia i z wytwornym ukłonem czekał na podanie ręki.
 Stefcia zawahała się, lecz podała mu ją wzburzona i prędko cofnęła.
 – Ależ nie objąłem palców pani... Nie! Stanowczo jestem zadżumiony! – zawołał rozkładając ręce komicznym ruchem.
 Miała go ochotę bić.
 Michorowski patrzył na nią z ironicznym uśmiechem. Ona drżała z gniewu pod spojrzeniem jego szarych oczu.
 Zebrawszy kwiaty, kiwnęła mu dumnie głową i rzekła odchodząc:
 – Zegnam pana.
 – Hm, pani jest energiczna, ale i ja muszę jechać do Słodkowic. Inna droga nie istnieje.
 Stefcia skręciła w las, wskazując na bielejący pas drogi.
 – Proszę, niech pan jedzie.
 – A pani?
 – Ja idę lasem.
 – Nie mogę pani zostawić w tej puszczy. Pani jest dziś tak nerwową, że zabłądziłaby łatwo.
 Postępował obok niej, prowadząc konia za uzdę.
 Stefcia zacięła wargi. Szła prędko, milcząc.
 On mówił wciąż głosem przesiąkniętym złośliwością:
 – Wie pani co? Niech pani siądzie na mego konia, a ja będę iść obok jak paż. Albo jeszcze lepiej: siądźmy razem. Na rusalkę i wilkołaka tak stosowniej.

Stefcia nie odpowiedziała, przyspieszając kroku.

– Pani ode mnie ucieka jak od straszydła leśnego. Przecie ze mnie wcale ładny chłopczyk, co? Nie uważa pani?

Żadnej odpowiedzi.

– Aha! Milczenie jest znakiem potwierdzenia. Bardzo mię to cieszy! Oddała mi pani nareszcie sprawiedliwość.

Sklonił się głową żartobliwie, z umyślną uniżonością.

– Przede wszystkim jest pan źle wychowany – wybuchnęła Stefcia.

– Doprawdy? Pierwszy raz słyszę! Zawsze uchodziłem za gentlemana.

– Pan gentleman?! – zawołała ze śmiechem.

Gniew zaświecił w jego oczach. Zmarszczył brwi i szarpiąc konia, przeszył ją oczyma.

Ale trwało to chwilę. Odparł z ironią:

– W takim razie możemy sobie po koleżeńsku podać ręce, gdyż i pani nieuprzejma.

– Panie ordynacie, czy pan uwolni mię dziś od swego towarzystwa?

– O tak, pani: w Słodkowcach.

– Boże! Za co mię karzesz! – szeptała do siebie.

Ordynat wybuchnął śmiechem.

– Z czego się pan śmieje? Czy ze swej niedelikatności?

– O nie, pani! Ale pierwszy raz widzę młodą pannę, którą widocznie przerażam. Jak mi Bóg miły, tak to dla mnie nowy objaw.

– Pierwszy raz jest pan tak niegrzeczny dla młodej panny. Za wiele pan sobie pozwala.

– Eee! Pozwalałem sobie często więcej, ale w żadnej nie wzbudzałem tak panicznego strachu jak w pani.

– Ja się pana boję? Pyszny pan jest! Ja pana...

– Nie cierpię – dokończył.

– Tak!

– Dziękuję! Przynajmniej szczerze! Nikt na spowiedzi większej prawdy nie powiedział. Pani utopiłaby mię w łyżce wody. Kto by pomyślał, że w tak delikatnym stworzeniu tyle siedzi złości. Skandal! Pani mię nie cierpi... Ha! Cóż robić! Możemy się pomordować w tym lesie, wolę odjechać samotnie. Gdyby mi pani wydrapała oczy, co powiedziałaby na to cały świat kobiecy? Zabrakłoby krepy żalobnej w sklepach, liczba samobójczyń wzrosłaby zastraszająco, a panią skazałyby moje wielbiciele na gilotynę.

Wskoczył na konia i wznosząc do góry czapkę, zawołał:

– Do widzenia! Umykam!

Zawrócił do drogi, uderzył konie ostrogami i pocwałował, roznosząc głośny tętent po lesie. Stefcia odetchnęła.

– Nareszcie!... Pojechał..., obrzydły cynik! Obraziłam go... Tym lepiej, nie będzie mi dokuczał.

Spiesznie podążyła w stronę pałacu.

Waldemar zrywał konia munsztukiem, smagał szpicróżgą i przez zaciśnięte wargi wyrzucał słowa ostre:

– Romantyczka... przybiera pozy królowny. Poczekaj! Zdejmę ja twoją koronę!... Wolę diabolicznie niż mniszki, ale nie mogę cierpieć, gdy diablica pozuje na westalkę.

Wzruszył ramionami.

– Ona podobna do księżniczki, a ja do szatana. W tym wypadku jestem szatanem... No... zobaczmy!

I spiał konia ostrogami.

II

W ogrodowej altanie przy stoliku siedziała Lucia Elzonowska ze swą nauczycielką i słuchała z zajęciem wykładu literatury. Stefcia opowiadała barwnie najświetniejsze czasy piśmiennictwa w Polsce, przytaczając ciekawsze ustępy z dzieł sławnych poetów. Wymową i zapalem umiała porwać uczennicę.

– Czy ty, Luciu, nigdy nie uczyłaś się literatury ojczystej? – spytała Stefcia, widząc zaciekawienie dziewczynki.

– Owszem, coś tam, ale bardzo mało – odparła Lucia. – Poprzedniczka pani, panna Klara, dowodziła, że w naszej sferze trzeba umieć dużo języków obcych i obcą literaturę, o polskiej zaś mówiła, że mi się na nic nie przyda.

– Czy panna Klara jest Polką?

– Tak, ale to wielka arystokratka, przesiąknięta naszymi poglądami.

– Jakież są wasze poglądy?

– Nie wiem, czy potrafię wytłumaczyć, ale sądzę, że chyba polegają na... Nie, nie umiem tego powiedzieć.

– Ja ci pomogę. Polegają na tym, aby mieć cześć dla wszystkiego, co francuskie, niemieckie, słowem obce, byle nie dla tego, co nasze, polskie. Nieprawdaż?

– Skąd pani o tym tak dobrze wie?

– Domyślam się. Czy twoja mama tak samo się zapatruje?

– Naturalnie! Mama nie czyta nic po polsku, ze mną rozmawia tylko po francusku i wierzy jedynie w zagranicę.

– A dziadzio? – spytała Stefcia.

– O, dziadzio przeciwnie! Zawsze o to sprzeczki z mamą. Dziadzio mówi, że to wstyd zapominać o swej narodowości – że każdy powinien najwięcej cenić i kochać to, co własne. Ale mamy te argumenta nie przekonują.

– Twój dziadzio bardzo zacny człowiek.

– Pani kocha dziadzia?

– Szanuję go, ufam w jego rozum.

– I dziadzio panią lubi, ja to widzę. Ale... i Waldy jest tych samych poglądów. Dlaczego pani go nie znosi?

– Moja Luciu, cóż mię pan Waldemar obchodzi?

Lucia odrzekła ze śmiechem:

– Wie pani, że między mamą a Waldym wieczne kłótnie. Teraz jeszcze pani przybyła. Biedny Waldy!

– Kończmy lekcję – przerwała Stefcia. – Masz jeszcze napisać wypracowanie.

Lucia zarzuciła jej ręce na szyję i rzekła pieszczotliwie:

– To jutro, moja droga pani. Dziś nic nie napiszę, czuję to. Tak mnie pani zachwyciła literaturą, że o niczym więcej nie mogę myśleć. Musi mi pani dać do czytania coś naszego, a wszystkich Niemców i Francuzów schowam na dno szafy, niech ich tam mole jedzą.

– Nie można wpadać z jednej ostateczności w drugą, moja Luciu. I obcych powinnaś poznać lepiej.

– Ale naszych więcej, prawda? Dziś powiem o tym dziadziowi i Waldy, będą radzi. Waldy zawsze mię nazywał papużką... Często, przyjeżdżając, pytał: „Cóż tam papużkę nauczyli nowego?” Mama zaraz w dąsy, a panna Klara z milutkim uśmiechem mówiła: „*Vous plaisantez, monsieur le comte*”¹. Bo ona go nazywała hrabią. Ale Waldy odpowiadał niby grzecznie, lecz z gniewem: „nie jestem żadnym *comte*. Racz pani zapamiętać”.

¹ *Vous plaisantez, monsieur le comte* (fr.) – Pan żartuje, panie hrabio.

– A cóż na to panna Klara?
– Obrażała się. Do mnie mówiła: „*Votre cousin est détestable. Il n'est pas sage*”² – i przez parę dni nie wychodziła do niego. Ale potem było znowu: *monsieur le comte*, a Waldy ją przestrzegał. Tak trwało ciągle.

– Widocznie pan Michorowski uważa za ulubiony sport dokuczanie nauczycielkom – rzekła Stefcia z przekąsem.

– Ależ co znowu! Waldy nienawidził panny Klary, a ona się w nim kochała, ja wiem. Panna Klara to już zupełnie stara panna, ale w pretensjach. Jak tylko Waldy przyjechał, fryzowała włosy i pudrowała się, aż na suknię puder opadał. Waldy ją ogromnie wyśmiewał. Razu jednego na obiad przyszła upudrowana niemożliwie i opowiadała, że zwiedzałyśmy młyn turbinowy. Waldy, wówczas czegoś zły, rzekł bez wahania: „Znać to na pani”. – „Dla czego?” – spytała. – „Bo pani cała w mące”. Wtedy gniewała się na niego przez tydzień.

Stefcia wzruszyła ramionami, pomagając Luci składać książki i kajety, i myślała o smutnej doli nauczycielki, która w dodatku jest starą panną. O pannie Klarze słyszała już wiele rzeczy, kpili sobie z niej wszyscy, ile chcieli. Kiedyś może i ją będą wyśmiewać, choć nie jest starą panną.

A Lucia powolnym głosem mówiła dalej, kręcąc jasną głową:

– Chciałabym się kiedy zakochać, wie pani? To musi być przyjemne. Ale w kim? W Słodkowcach nie ma kandydata. Chyba pan Ksawery. Ha! ha! On ma za dużą łysinę i mówi do mnie: „moje dziecko”. Bardzo tego nie lubię. Jest tu w Ożarowie hrabia Trestka, ale w nim się nie zakocham, bo ma taką gapiowatą minę. Zresztą on stara się o pannę Ritę. Ot! szalałabym na pewno za Waldym, ale on jest moim wujecznym bratem. On bardzo przystojny i elegancki, ale za poważny, czasem się tylko rozdokazuje.

– Moja Luciu, nie myśl o takich rzeczach – wtrąciła Stefcia. – Jesteś za młoda. Przyjdzie czas i na to. Im później, tym lepiej.

– Pani tak mówi, bo sama z tego powodu miała dużo smutków.

– Skąd wiesz?

– Wiem od mamy.

Stefcia poruszyła głową.

– Mama czasem wszystko mi mówi, ale czasem nic. Zresztą cóż w tym złego? Przecież nie zawsze bywa taki koniec rozpaczliwy, zwykle doznaje się dużo szczęścia.

– Ty już o tym wiesz? – spytała Stefcia ubawiona.

– Ja, czytając dużo powieści francuskich, wiem, co znaczy miłość, lecz na sobie nigdy jej nie doświadczyłam. Kiedyś zapytałam Waldemara, co się wówczas czuje – bo on już może być doświadczony.

– I cóż ci odpowiedział?

Lucia machnęła ręką.

– Ech, Waldy zawsze żartuje. Powiedział mi tak: „Kochać się to jest zupełnie to samo, co odrabiać lekcję arytmetyki” – bo wie, że najgorzej nie lubię rachunków. Pani mogłaby mi coś powiedzieć, ale pani nie powie. Będę czekać na podobne wiadomości z własnej praktyki.

– Tylko nie zaprzataj głowy oczekiwaniem. Powtarzam: to za wcześnie.

Lucia zrobiła ruch, jakby sobie coś przypominając, i z wesołą mimiką szepnęła:

– Już wiem! Otóż i zakocham się, nawet prędko, może za tydzień lub za dwa. Ma tu przyjechać praktykant, mówił Waldy. On ma takich kilku w Głębowiczach, z dobrych rodzin. I ten, co tu przyjedzie, jest podobno z dobrej rodziny, taki, co mu nic nie płacą i on nie płaci. Będzie mieszkał w pawilonie, ale jadał z nami. Chciał tu się dostać hrabia S., lecz podobno okropny lalusz, więc Waldy odmówił.

– A ten może nie zadowoli twego gustu? – rzekła Stefcia, myśląc o czym innym.

² *Votre cousine est détestable. Il n'est pas sage* (fr.) – Twój kuzyn jest obrzydliwy. On nie jest grzeczny.

– No, zapewne! Ale jeśli ładny, to się zakocham.

W tej chwili wszedł do altany młody pokojowiec i rzekł służbowo:

– Jasnie pani prosi do stołu.

Po czym, nie czekając rozkazu, zabrał książki i niósł do pałacu z wielką czcią.

W sali jadalnej, stylowej, z sufitem w płyty mahoniowe, wszyscy już byli zebrani. Pani Elzonowska, siedząc w krześle, oczekiwała na córkę.

W ręce gniotła serwetę, miała wygląd zirytowany. Poruszała ustami z grymasem i podnosiła jedną brew prędko, co u niej oznaczało niezadowolenie. Obok niej siedział pan Maciej Michorowski, starzec osiemdziesięcioletni. Szczupły i trochę pochylony, robił sympatyczne wrażenie rozumnym wyrazem twarzy bladej, ozdobionej siwym wąsem i dwojgiem miłych szarych oczu. Rysami twarzy przypominał cesarza Franciszka Józefa i dziwną ufność wzbudzał w każdym. Pociągającym uśmiechem ujmował wszystkich, jakby mówiąc: „Szanujcie mnie i kochajcie”.

Teraz słuchał wnuka, rozważając każde jego słowo. Staruszek widział w nim swe odrodzenie, młodość.

Waldemar, oparty o wysoką poręcz krzesła, rozdrażniony, ze zmarszczonymi brwiami, dowodził coś, na coś się nie zgadzał, co oburzało panią Elzonowską.

Czwartą osobą przy stole był pan Ksawery, emeryt, stary i łysy, wielki smakosz. Ten, widząc, że ordynat nie siada, stał również, z miną nieszczęśliwą. Nie zajmowała go rozmowa Waldemara z ciotką: on pożerał oczyma wazę, stojącą na bocznym stole, z której ulatywała woń zupy *à la reine*³. Zerkął strapiiony na baronową i na wyfrakowanego lokaja. Lecz i ten oczekiwał hasła rozlewania zupy. Nareszcie Stefcia i Lucia weszły. Pani Idalia spojrzała bystro na Waldemara, dając mu do zrozumienia, że czas zakończyć rozmowę. Ale ordynat sam umilkł. Prędko podszedł do panien i ucałowawszy Lucię, skłonił się Stefci z wyszukaną elegancją. Ironiczny uśmiech od razu osiadł mu na ustach.

– Po takiej poezji, jak las i kwiaty, spotykamy się przy prozaicznym obiedzie. Gzy to pani nie razi? – spytał.

Stefcia poczerwieniała. Jego słowa zniweczyły jej humor w jednej chwili.

– Nie myślałam o tym – odparła chłodno.

– Szkoda! A ja wątpię, czy panią zobaczę. W tej puszczy mógłby panią porwać jakiś szczęśliwy wilkołak, połknąć żywcem lub unieść do swych komyszy. Bardzo rad jestem, że pani ocalała.

– Czy i ty, Waldy, byłeś rano w borku z panną Stefanią? – spytała Lucia.

Pani Elzonowska popatrzała na Stefcię zmrużonymi oczyma jak szpareczkami i z odpowiednim grymasem ust spuściła je znowu na talerz.

Waldemar zauważył przykrość na twarzy Stefci, spojrzał bystro na Lucię i odpowiedział swobodnie:

– Jadąc przez las widziałem pannę Stefanię spacerującą.

Stefcia uczuła wdzięczność dla niego.

Służący obniósł supę. Zaczęto ją spożywać w milczeniu. Takie ciche obiady zdarzały się tu rzadko, ale bywały ciężkie jak gradowa chmura.

Stefcia poznała, że chmura i dziś wisi nad stołem.

Pani Idalia, siedząc bez słowa, wyglądała, jak gdyby połknęła kij. Sztywna jej postać, chłód bijący z twarzy oziębiał i pana Macieja. Staruszek chciał rozweselić wszystkich, rzucał od czasu do czasu jakieś zdanie, ale rozmowa nie kleiła się. Zły humor pani domu działał przygnębiająco. Nawet pan Ksawery, chociaż nie tracił apetytu, spoglądał na baronową z obawą.

³ *à la reine* (fr.) - królewska

Tylko ordynat zachował swobodę, lecz także milczał. Wypił dwa kieliszki starki. Po upie lokaj ciągle dolewał madere, zdziwiony, że młody pan ma tak wyjątkowe pragnienie. Po połudwicy Waldemar pił na umór burgunda, lecz zdziwienie służącego wzrosło, gdy podano szparagi. Zwykle ordynat nie lubił tej potrawy, ale dziś drugi raz kazał sobie podawać.

Pani Elzonowska spojrzała na niego z miną istoty wyższej, która by nie potrafiła dobierać jednej potrawy. Uważała to za nieestetyczne, w ich sferze niesłychane. Jej zły humor znalazł ujście, nie wytrzymała. Bez podniesienia oczu rzekła po francusku, głosem trochę syczącym, ciągnąc wyrazy:

– Nie rozumiem, jak można dwa razy brać z półmiska. Bierze się tylko raz odpowiednią ilość dla zaspokojenia apetytu.

Pan Maciej patrzył na córkę z wymówką w oczach. Nie rozumiał rozdrażnienia posuniętego aż do niegrzeczności. Ale Waldemar nie zawstydził się, przeciwnie, rozweseliło go to. Zerknął na ciotkę złośliwie, na Stefcie figlarnie, uśmiechnął się i zawołał do lokaja:

– Jacenty! podaj mi jeszcze szparagi.

Pani Idalia zacięła usta. Pan Maciej teraz na wnuka spojrzał z wymówką.

Stefcia i Lucia wstrzymywały śmiech, tylko lekkie drganie kącików ust Stefci wskazywało, że ją ta scena ubawiła.

Jednakże Waldemar to zauważył. Zaczął dowcipkować z panem Ksawerym, wreszcie rzekł:

– Zapraszam pana do Głębowicz na całe lato, dobrze? Będzie pan miał wszystko, czego dusza zapagnie. Co dzień zupa *à la reine*, szparagi, bo ja pasjami polubiłem szparagi – co dzień gra w szachy, dzienniki ilustrowane. Nawet na pańską intencję urządzę iluminację, którą pan tak lubi. Cóż, zgoda?

Pan Ksawery wyjął z przepaścistej kieszeni surduta ogromną chustkę, dokładnie wytarł sobie łysinę i dopiero wówczas odpowiedział:

– Co panu po mnie, panie ordynacie? Dobędę już w Słodkowcach.

– W Słodkowcach będzie ktoś inny... młodszy. Pan nie potrafisz bawić dam! To, widzi pan, wyłączna zdolność. My obaj, apostołowie celibatu, trzymajmy się razem w Głębowiczach. Tu moja pani ciotka życzy sobie kogoś zabawniejszego.

Pani Idalia wzruszyła ramionami.

– Zechciej łaskawie nie narzucać mi własnych kaprysów – rzekła kwaśno.

Waldemar poważnie pochylił głowę.

– Zawsze jestem na twoje usługi, kochana ciociu.

Po czym rzekł do Stefci:

– Pani wyrocznią, pani głosuje, czy pan Ksawery ma zostać w Słodkowcach, czy go mam zabrać do Głębowicz?

– Moje zdanie zbyteczne – odparła Stefcia podrażniona.

Waldemar utkwiał w niej szare, przenikliwe oczy z wyrazem trochę szatańskim. Potrząsnął głową i zawołał z udanym żalem:

– Desperacja! Nie mam weny do pani. Co krok to rekuza! Pani jest dla mnie okrutną. Luciu, czemu nie nawrócisz panny Stefanii na moją stronę? Powinnaś tego dokazać.

Dziewczynka spojrzała na matkę i spuściła oczy. Widocznie chciała coś odpowiedzieć, lecz surowa twarz matki onieśmieliła ją.

Wtem przemówił pan Maciej, chcąc nadać inny kierunek rozmowie:

– Czy będziesz nocował. Waldy?

– Broń Boże! A to po co? Wydam ostatnie polecenia Kleczowi i jadę.

Spojrzał na Stefcie i dodał:

– Chyba panna Stefania zechce, abym został jako partner do tenisa. W takim razie zapominam dziś o Głębowiczach i...

– Waldy, proszę cię, nie żartuj – przerwał pan Maciej; bardzo niezadowolony.

– Ależ ja wcale nie żartuję! Panna Stefania może mię skłonić do zostania. Więc... słucham wyroku?

I pochylony patrzył na Stefcie zuchwałym wzrokiem.

– Słucham wyroku! – powtórzył.

Stefcie oblała gorąca krew oburzenia.

Z jaką przyjemnością cisnęłaby w twarz tego magnata serwetką lub talerzem.

Podniosła na niego oczy pełne gniewu i odrzekła:

– Mówiłam panu, że nie grywam w tenisa, i jeszcze raz to powtarzam.

– Ach! więc zostanę nauczycielem pani. Ręczę za świetne rezultaty.

– Zbytek łaski – rzuciła gniewnie.

Waldemar mówił dalej:

– Pani jest niesłychanie do twarzy w koralach. Wyglądają apetycznie, jak dojrzałe wiśnie. Gdybym był wróblem, nie odpędziłaby mię pani od siebie, objadłbym wszystkie. Tymczasem tylko ślinę łykam.

Stefcia zbladła, zagryzła usta i obrzuciwszy Waldemara chłodnym wzrokiem, spuściła oczy.

Obiad skończył się. Baronowa wstała nie spojrzawszy na nikogo i prędko wyszła z sali.

W Słodkowcach przy powstaniu od stołu nie dziękowali sobie. Taki panował zwyczaj. Stefcie on raz i stale oddawała wszystkim ogólny ukłon.

Pani Idalia z zasady na ukłon taki nie odpowiadała, a pan Maciej zawsze nawet podawał Stefcie rękę, co ją krępowało ze względu na panią Idalię.

Ordynat dla dokuczenia ciotce i dla własnej przyjemności również podawał Stefcie rękę, wiedząc, że ją tym rozniewa. Ale dziś Stefcia, chcąc uniknąć podziękowania, powstała prędzej od baronowej i skłoniwszy się ładnie głową panu Maciejowi, podążyła w stronę drzwi.

Waldemar zręcznie zastąpił jej drogę i wyciągając dłoń przemówił:

– Dziękuję pani za miłe *vis-a-vis*.

Stefcia cofnęła się i nie podając mu ręki przeszła, nawet na niego nie patrząc.

Młody magnat patrzył na Stefcie zdumiony. Kiedy znikła za drzwiami, szarpnął ładne złotawoblond wąsy i nic nie mówiąc poszedł do swego gabinetu.

Usiadł na fotelu przed biurkiem, wyjął z kieszeni kosztowną cygarniczkę, wydobył cygaro i zaczął zapalać z nadzwyczajną uwagą i namaszczeniem. Pełne, barwne, zmysłowe usta wydymał lekko, pykając z cygara błękitnym dymkiem.

Z brwią namarszczoną siedział, z widocznym skupieniem w szarych oczach. Świeciły w nich złowrogie płomyki. Po chwili poruszył się, wsunął ręce w kieszenie, założył nogę na nogę i rozparty wygodnie w fotelu, rzekł głośno, nie wyjmując z ust cygara:

– Po prostu dała mi w pysk.

Ubawiony własnymi słowami, szepnął znowu:

– Zuch dziewczyna! Ale temperament ma piekielny!...

III

W parę godzin potem ordynat powstał od biurka i podając rękę rządcy rzekł grzecznie:

– Skończyliśmy. Jeśliby zaszło coś niespodziewanego, proszę telefonować, będę cały czas w domu.

Rządca Klecz skłonił się z uszanowaniem, z pewną czcią dotykając ręki Michorowskiego, zapytał zdziwiony:

– Pan ordynat nieprędko będzie w Słodkowcach?

– O tak! do tygodnia, może dłużej.

– W takim razie muszę jeszcze trudzić pana w jednej kwestii.

– Proszę.

– Chcę mianowicie spytać, jaką czwórkę przeznacza pan ordynat na wyłączny użytek pałacu: karą, kasztany czy gniade?

– Dlaczego pan o to pyta?

– Bo kare są to konie bardzo delikatne. Pani baronowa często jeździ do Szal, do hrabstwa Ćwileckich. To jest przecie cztery mile i nietęga droga, Konie, do naszych dróg przyzwyczajone, przychodzą jak haki. Pani baronowa ostro jeździ. Ja sam nie mogę przedstawić, ale wołałbym, żeby jedna czwórka była wyłącznie przeznaczona do rozjazdów, bo wówczas już bym nie odpowiadał za konie.

Waldemar słuchał prędkiej mowy rządcy, przekładając papiery na biurku. Podniósł głowę, spojrzał na Klecza ze zdziwieniem i rzekł spokojnie:

– Przede wszystkim stangret odpowiada za konie po takiej wycieczce, nie pan.

Klecz zmieszał się.

– Tak, właściwie. Ależ ja mogę odpowiadać za to, że je daję.

Michorowski przesunął ręką po czole i rzekł z akcentem:

– Proszę pana, czy mej ciotce wszystko jedno, jakimi końmi jedzie?

Klecz zmieszał się mocniej.

– Nie, pani baronowa zawsze sama dysponuje i rozmaicie: czasem kare, czasem kasztany.

– A więc musi pozostać tak, jak jest.

Klecz zrozumiał, że niezręcznie poruszył tę sprawę i że powinien już odejść. Spojrzał na ordynata: widok jego zsuniętych brwi i wydętych ust dotknął rządcę niemile. Oczów ordynata nie widział, gdyż były spuszczone na papiery, ale domyślał się, że wyraz ich nie jest zachęcający.

Klecz zawsze podziwiał grzeczność tego magnata względem podwładnych. Lecz wiedział, że zmarszczenie brwi, charakterystyczne wydęcie ust i wielkopańskie zaniechanie w całej postaci nie jest u niego oznaką zbyt dobrego humoru. Rzekł z ukłonem:

– Przepraszam, że się ośmieliłem.

– O, proszę pana! – odrzekł Michorowski szczególnym tonem jakby przebaczenia i zarazem oburzenia za te przeprosiny. Wypowiedział te słowa wspaniałomyślnie i karcąco.

Podniósł przy tym głowę i błyskawicznie spojrzał na Klecza. Ten pragnął już nie być w gabinecie.

– Moje uszanowanie – rzekł kłaniając się powtórnie.

– Do widzenia! – rzucił ordynat krótko, z odpowiednim kiwnięciem głowy.

Podniósł przy tym brwi nerwowym ruchem.

Klecz wyszedł. Ordynat odetchnął.

– Wiecznie skargi na ciotkę – mruknął zły – i zawsze Klecz. No, ale już dziś zrozumiał. Nie lubię dawać takich nauk. Przeszedł się po gabinecie i pokręcił głową.

– Ten ją lubi! – rzekł prawie głośno.

Zjawił się kamerdyner Jacenty.

- Starszy pan prosi jaśnie pana do siebie.
- Dobrze. Każ siodłać konia.

Pan Maciej czytał u siebie w gabinecie, zagłębiony w staroświeckim fotelu. Na widok wchodzącego wnuka położył księgę na stoliku.

- Przepraszam, że cię wezwałem. Chcę z tobą pomówić. Może byłeś zajęty?

Waldemar uśmiechnął się.

- Choćby nawet. Czy nie uważasz dziadziu, że jesteś pierwszym?

Staruszek podał mu rękę.

– Dobry jesteś, bardzo dobry. Tym bardziej mi przykro, że ci muszę dać burę. Siadaj tu, nieznosny chłopcze.

Wskazał mu fotel, stojący naprzeciw.

Waldemar nie usiadł. Przez okno zaglądał do parku, gdzie śpiewały słowiki. Spytał z żartobliwym odcieniem w głosie:

- Doprawdy? Cóż zawiniłem?

- Mój drogi chłopcze, niepotrzebnie drażnisz Idalkę.

- Ach, więc już ciotka dziadzia przekabaciła. Winszuję!

– Ale cóż znowu, mój Waldy! Tylko widzisz, ja nie lubię nerwów, a ona je posiada w wysokim stopniu. Gdy je podrażnisz, mamy takie obiady jak dzisiejszy, co miłym nie jest.

- No dobrze. Ale ostatecznie jakiego zdania jest dziadzio? – spytał Waldemar porywczo.

– Ja stanowczo trzymam twoją stronę. Ten hrabia S. jest niepo czytalny. Idalka sądzi inaczej. Ona mówi, że powinniśmy zawsze trzymać się naszej sfery i dopomagać jedni drugim, zamiast szukać obcych bogów. Po części mówi prawdę, ale w tym wypadku...

Waldemar wybuchnął ironicznym śmiechem.

– Wspaniała teoria! Altruizm ciotki rozczula mię! Ale to jest pseudoaltruizm. Ciotce ten hrabicz zaimponował, jakby sama była parweniuszką. Hrabia S. praktykantem w Słodkowcach – to ciotkę łechcze. Ale ja jestem krańcowym egoistą i takiego poliszynela nie wezmę na praktykanta, po części swego pomocnika. Ja szukam nie sfery, lecz tęgości, energii, o czym ten pan pojęcia nie ma. Ze jeden z praktykantów w Głębowiczach jest hrabią, to nie dowodzi, bym szukał drugiego i brał bez względu, jaki on. Tamten w Głębowiczach pracuje jak każdy inny, a hrabia S. jest do niczego. Może ciotka myśli, że praktykant będzie tu odgrywał rolę panicza na wodach, będzie grywać w tenisa, w bilard i czytać głośno romanse francuskie. Pewnie, do takich zajęć hrabia S. byłby zdolnym, ale ja wymagam praktykanta innego i takiego mieć muszę. Zresztą już mam, jest umówiony, a umowy nie zerwę dla... idiosynkrazji ciotki.

Mówił żywo, gestykulując i chodząc po gabinecie.

Staął przy oknie.

– Czy dziadzio wie, jaką ja odbywałem praktykę u książąt Łozińskich po skończeniu Halli? – spytał gwałtownie. – Jeśli hrabia S. jest zdolny do podobnej, niech przyjeżdża zadowolnić ambicję cioci.

Pan Maciej machnął ręką.

– Dajże spokój, znam dobrze tego gagatka. Uperfumowany lalusz, ma dwadzieścia kilka lat i już sporą łysinę. Sama toaleta zajmuje mu pół dnia czasu. Byłby ci zawadą, nie pomocą.

– Eee! ja bym nie robił ceremonii. Nie chcesz, paniczku, wstawać o piątej, to jazda do Monte Carlo na ruletkę. Ja chcę, aby moi praktykanci korzystali. W Słodkowcach i Głębowiczach mają do tego wielkie pole. Ale brać pierwszego dudka nie mam zamiaru. Ten S. nie skończył żadnej szkoły rolniczej. Cóż on chce, żebym mu wykładał agronomię od a do z, i to wtedy, jak mu przyjdzie ochota lub jak go znudzi tenis? Podobnym filantropem dla sfery nie jestem. Niech ciotka założy tu szkołę dla takich filistrów, sferzystów, gogów, tenisistów, a wówczas ja pošlę karetę po hrabiego obitą poduszkami, żeby się nie rozbił jak pusty flakonik od perfum.

Pan Maciej zaśmiał się.

– Tego by tylko brakowało, żebyś to Idalce powiedział.

– A powiem! Jeśli ciotka zacznie mi wmawiać miłość do naszej wyłysiałej sfery, to powiem. Na szczęście mieszkam w Głębowiczach, mogę tu rzadziej bywać, jeśli tak ciotkę irytuję.

– No, mój drogi, nie myśl o tym. Ale wiesz co? Ten pan praktykant mógłby naprawdę mieszkać w Głębowiczach i byłby spokoj. Jak myślisz?

– Ależ w Głębowiczach mam trzech praktykantów, a tu żadnego. Wreszcie z Głębowicz do Słodkowic jest z górą dwie mile, więc tam jeździłby na obiady i noclegi? Głupstwo! to jest niemożliwe!

– Więc może niech jada u Klecza?

Waldemar usiadł i pochylony do pana Macieja rzekł poważnie, biorąc go za rękę:

– Dziadziu, proszę być szczerym: czy dziadzio to mówi pod wpływem ciotki, czy z własnej niechęci, aby ten praktykant przebywał z nami? Jeśli dziadzio sam tego nie życzy, jeśli by mu to sprawiło przykrość, proszę mówić otwarcie. Cofnę umowę z tym panem i rzecz skończona. Tobie, dziadziu, nie chcę przyczyniać przykrości.

Pan Maciej objął wnuka, ucałował go serdecznie i rzekł:

– Jesteś, Walde, bardzo kochanym chłopcem. Dziękuję ci za troskliwość. Będę szczerym: ten pan nie sprawi mi najmniejszej przykrości, owszem, lubię towarzystwo młodych. Zresztą wiem, że nie przyjmujesz człowieka bez wychowania, bo ci na to nie pozwoli twój własny smak, dobry, wytworny gust. Ja nic nie mam przeciw temu, nawet podzielam twe zdanie. My powinniśmy cywilizować, wszczepiać dobrą rasę w mniej rasowych, podnosić kulturę – a skoro jesteśmy do tego zdolni i powołani, nie możemy się usuwać, to nasz obowiązek jako przewodników w społeczeństwie. Hrabia S. nie skorzystałby u nas, a ten pan z pobytu w naszym gronie może wynieść dużo atomów, które z czasem mogą być dla niego pożytkiem, upiększeniem w życiu, za co pozostanie nam wdzięcznym.

Waldemar wiedział, że dziadek mimo trzeźwości i rozsądku był zagorzałym fanatykiem własnej sfery i cześć dla niej posuwał aż do fetyszyzmu. Wyobrażał sobie, że arystokracja jest batutą w rękę Boga, że kieruje masą ludzi niżej umieszczonych, orkiestrą ludzkich wrażeń: że nadaje im odpowiednie hasło, każe tłumom patrzeć na siebie, zmusza do kierowania się śladem jej ruchów.

Jednej wady pan Maciej nie mógł darować swej fikcyjnej batucie, to jest zamięłowania do cudzych farb, co ją czyniło podobną do maskaradowej pstrokaczyny, zakrywającej właściwy grunt.

Na wzmiankę pana Macieja, że obcując z nimi, ludzie innych sfer mogą korzystać wiele, Waldemar zawołał z humorem:

– A tak, skorzysta, będzie nam wdzięczny. Po co ma nabywać atomami? Może przejąć gremialnie nerwy i kwasy ciotki, jej wytworne i dystygowane minki. Nauczy się makaronizować, uważać zagranicę za wyrocznię, dowie się, że człowiek, który szanuje swą godność, powinien uważać literę „r” za barbarzyński zabytek w alfabecie; wreszcie przekonamy go, że można być skazanym na utratę czci i honoru nie tylko po spełnieniu podłości ale i za... dobieranie drugi raz z półmiska. Wspaniałe nabytki cywilizacji, *in summo gradu*⁴!

Pan Maciej, zarażony żartobliwym głosem wnuka, śmiał się również. Wszystkie punkta wyszydzane przez Waldemara raziły go w córce. Zgadzał się z nią jedynie w bałwochwalczej czci dla arystokracji, lecz i tę pojmował inaczej.

– Mój chłopcze – rzekł z uśmiechem – mówiłeś tylko o Idalce, a czymże ja cywilizować bym potrafił?

⁴ *in summo gradu* (łac.) – w najwyższym stopniu

– Och! Dziadzio wywołuje komplementy. Gdybyśmy byli wszyscy do dziadzia podobni i do babki Podhoreckiej, sądziłbym o nas inaczej. Wówczas może stałbym się kapłanem składającym ofiary na ołtarzu naszej sfery. Śpiewałbym na naszą cześć hejnały i byłbym pionierem naszych czcigodnych haseł, ultra humanitarnych zasad, wyborowej etyki. Lecz ponieważ u innych nie widzę nic podobnego, więc nie śpiewam wraz z ciotką hymnów pochwalnych.

Wysokie czoło starego magnata zmarszczyło się, spuścił głowę i westchnął ciężko. Słowa wnuka wywołały w jego duszy niepokojący szept. Coś w sumieniu cichutko się odezwało, jakaś mała komórka wspomnień, pokryta pleśnią, drgnęła sprawiając ból. Tę smutną chwilę życia można by wytłumaczyć młodością, ale pan Maciej nie należał do ludzi, co dla załagodzenia własnych błędów wynajdują powody i stawiając je przed sobą jak barykady, żyją spokojnie.

Siedział zamyślony, milczący, aż zwrócił uwagę Waldemara. Ordynat przystanął obok dziadka i zaglądając mu w twarz zapytał z uśmiechem:

– O czym dziadzio tak marzy? wolno wiedzieć? Słowiki wprawdzie do tego usposabiają, bo na przykład ja nie jestem romantykiem, a słucham tych ćwierkań z przyjemnością. Gdyby nie perspektywa kolacji w towarzystwie cioci, zostałbym na noc, ale ta myśl odbiera mi humor i apetyt.

– Bo też zostań! Co tam Idalka! Pogodźcie się z sobą.

– Nie, wolę jechać. Wszyscy mię dziś zmęczyli, nawet i ta makolągwa, ta królowna przebrana za pasterkę.

– Co za makolągwa? Jaka pasterka?

– Ano ta – panna Stenia...

Pan Maciej drgnął.

– Stenia? Co ty mówisz, Waldemarze?

Ordynat spojrzał zdziwiony.

– Mówię o panie Stefanii Rudeckiej. Dziadzio ją przecież tak nazywa.

– Ach, ta!... Istotnie tak ją nazywam, bo to ładnie. Ale czymże ona ci dokuczyła? Ty raczej męczysz ją zawsze i dziś także.

Waldemar zaśmiał się głośno.

– Och! nie zmęczę jej, to ostrodzioba!

– Jednak źle robisz, Waldy, że ją drażnisz. Miłe to i bardzo dobre dziecko. Jest z dobrej rodziny i wiesz przecie, w jakich warunkach została nauczycielką. Pracuje pilnie, choć to nie jej fach właściwy. Trzeba to cenić. Po co jej robić przykrości?

– A cóż, kochany dziadziu, jeszcze jedna cecha naszej sfery: robić sobie zabawkę z takich istot zabłąkanych wśród nas, mieć je za przedmiot żartów, ostrzyć na nich dowcip.

Pan Maciej popatrzał na wnuka z obawą.

– Wątpię, żebyś tak mówił na serio.

– Owszem, zupełnie serio mówię. To także jeden klejnot z drogiego skarbcza naszych przymiotów.

– Waldy, co tobie dziś jest?

– Jestem wyjątkowo prawdomówny.

– Jesteś tylko rozgoryczony i skutkiem tego niesprawiedliwy nawet dla siebie. Niezdolnym byłbyś do zabawy, o jakiej wspominasz.

– Być może. Zresztą wszystko mi jedno.

– Więc czemu tak postępujesz?

Waldemar podniósł rękę do góry.

– Dla tradycji, kochany dziadziu!

– Ech! zawsze kpisz.

– Więc powiem prawdę. Ja jej nie cierpię!

– Kogo? Panny Steni?

– Tak, jej we własnej osobie.

– Za co? Takie to piękne, dobre, inteligentne!

Waldemar wzruszył ramionami.

– Prawdopodobnie za to samo, za co i ona mnie. Czy ja wiem, za co? Mniejsza o to. Muszę jechać, konia dawno oprowadzają. W nocy zajadę do Głębowicz. Za tydzień przyjeżdżam z praktykantem, ku wielkiemu zadowoleniu cioci.

– Jak to! wcześniej nie będziesz?

– Zapewne. Mam dużo zajęcia.

Pan Maciej uściskał serdecznie wnuka.

– Jakże ty sam pojedziesz? Czemu nigdy nie weźmiesz masztalerza?

– Nie lubię mieć za sobą gapia.

– Weź stajennego.

– Ależ, dziadziu! czyż jestem dzieciak, żeby się miał bać nocy?

Uściskał dziadka, wyprostował swą męską postać i zaśmiał się głośno.

– Idę pożegnać ciocię. Ale czy mię nie zrzuci ze schodów?

– Dajże spokój. Idalka śpi. Pożegnaj ją od ciebie.

– Tym lepiej. Do widzenia!

Waldemar wyszedł z gabinetu.

Pan Maciej widział przez okno, jak wskoczył na konia i ruszył kłusem. Za nim w podskokach biegł duży, pyszny dog Pandur, ulubieniec ordynata.

W bramie Waldemar spotkał Stefcie i Lucię, wracające ze spaceru. Lucia zaczęła coś mówić, a Stefcia na jego ukłon odpowiedziała skinieniem głowy i szła wolno w głąb dziedzińca, nie uważając na niego. Lucia wkrótce podążyła za nią.

Waldemar stał w bramie, patrząc uporczywie na Stefcie, dopóki nie znikła mu z oczu. Wówczas uderzył konia szpicróżgą, świsnął na psa i pomknął jak wicher.

Pan Maciej uśmiechnął się.

– Mówi, że jej nie cierpi, a jednak interesuje go – szepnął do siebie.

IV

Życie Stefci płynęło w Słodkowcach spokojnie. Lekcje, rozmowy z Lucią, muzyka, spacer i czytanie wypełniało każdy dzień.

Panią Idalię Stefcia widywała najczęściej przy stole, w innych godzinach dnia można ją było spotkać w gabinecie. Rozłożona wygodnie na szezlongu lub na bujającym fotelu, czytała, ciągle czytała. Na stolikach, konsolach, krzeselkach wałało się pełno dzieł Jakuba Rousseau, Zoli, Dumasa, Bourgeta, nawet Voltaire'a obok Rochefoucaulda i Chateaubrianda. Najwięcej książek francuskich – czasem błysnął Dickens, Walter Scott lub zamajaczył Shakespeare. Niemieckie tomy spotykały się rzadko, z polskich ani jednego. Pani Elzonowska wystarczała sobie najzupełniej. Córkę oddała pod opiekę Stefci, rzadko udzielając jej posłuchania. Ojca pani Idalia odwiedzała jedynie w chwilach dobrego humoru, grywając z nim w szachy. W takich razach znosiła nawet obecność pana Ksawerego, codziennego partnera.

Bywały dni, że pod wpływem wrażeń zaczerpniętych z literatury stawiała się przesadnie czułą dla córki, ojca, nawet dla Stefci. Z miłym uśmieszkiem wypytywała ją, czy jej czego nie brak, i po takim występie była przekonana o swej anielskości. Wyjeżdżała często do Szal, do siostry męża, hrabiny Ćwileckiej, lub do Obronnego, gdzie mieszkała księżna Podhorecka, babka Waldemara po kądzieli.

Wiecej sąsiedztw Słodkowce nie posiadały, gdzie by pani Idalia mogła bywać bez uchybienia sobie w jej przekonaniu. Kilka domów obywatelskich odwiedzało Słodkowce, uważając to za obowiązek towarzyski, a głównie dla dogodzenia własnej ambicji. Pan Maciej przyjmował ich uprzejmie, pani Idalia grzecznie, ale rewizytował ich tylko Waldemar. Pana Macieja tłumaczył wiek, panią Idalię własny pewnik: *pas pour moi*⁵, co wszyscy rozumieli, wmawiając w siebie, że pani Idalia często cierpi na nerwy.

Jadąc do Szal lub Obronnego, wstępowała czasami do sąsiadów będących poza obrębem jej dążeń. Ale nie zapomniła nigdy nadmienić, że tylko wstąpiła, jak w jej słowniku brzmiało: *par politesse*⁶. Pani Idalia miała swe zasady wyłączne. W Słodkowcach goście zdarzali się często, z nieuprzywilejowanych jedni dążyli tam w celu odwiedzenia pana Macieja, innych wiodła próżność, a jeszcze innych nadzieja zastania ordynata. Ten młody magnat i milioner miał na siebie zwrócone oczy całej okolicy. Przedstawiał partię jedną z najpierwszych w kraju, dla wielu niedoścignioną. To tłumaczyło u niektórych żywą sympatię dla pana Macieja oraz łatwe składanie na nerwy i migrenę niechęci pani Idalii do życia towarzyskiego.

Stefcia pomimo pracy tęskniła za domem. Listy jej nie wystarczały, ogarniał ją smutek.

Obie z Lucią często widywały pana Macieja, odwiedzając go w jego gabinecie. Stary ten człowiek dziwnie ją rozrzewniał. Miał nadzwyczaj miły uśmiech. Rozmawiając z nim doznawała złudzenia, że to nie arystokrata z tej samej sfery, co pani Idalia. Nawet urządzenie jego mieszkania różniło się od urządzenia pałacu.

Wszystko tu było staroświeckie, ale wesołe i bez sztywności panującej w wytwornych salonach przesiąkniętych etykietą.

Pan Maciej często siadywał w ogrodowej altanie, słuchając czytania Stefci. Lubił jej muzykę. O szarej godzinie grywała mu Chopina i ulubione arie z oper. Stefcia dogadzała starszuskowi, z każdym dniem przywiązując się do niego więcej. Ale pan Maciej wpadał w melancholię, gdy Waldemar długo nie przyjeżdżał. Tęsknił do wnuka, bo jego wesołość, młodzięcza postać pełna życia ożywiała starca. Cieszył go widok jedynego potomka ich rodu z linii głębowickiej.

⁵ *pas pour moi* (fr.) – nie dla mnie

⁶ *par politesse* (fr.) – z grzeczności

Po tygodniu nieobecności swego ulubieńca pan Maciej zaczął już wpadać w smutny nastrój. Nie bawiły go szachy ani czytanie, nawet muzyka Stefci. Słuchał z roztargnieniem nokturnu Chopina, kręcąc się niespokojnie w fotelu, posyłał Lucię do okna, czy nie jedzie Waldemar. Na przeczącą odpowiedź mruczał:

– Co to jest? Co to znaczy?...

Gdy Stefcia skończyła grać, podziękował jej i poszedł do siebie.

– Dziadzio dziś smutny – rzekła Lucia – a czy pani wie, dlaczego? Bo Waldy marudzi z przyjazdem. Dziadzio go okropnie kocha.

– Niechby już przyjechał – odrzekła Stefcia.

Lucia poszła do matki, Stefcia do swego pokoju. Stała w otwartym oknie i z rozkoszą pochłaniała oczyma grę promieni słonecznych, dziergających w złote nitki rozpyloną wodę fontanny. Z cichym szumem spadała fala do kamiennego basenu, jak różowo-złota chmurka, strzepując drobne kropelki na rosnące obok kwiaty. A one zdawały się podnosić spragnione główki, barwne, pachnące. Słońce przesunęło czerwony krąg ku zachodowi, sypiąc na ziemię jaskrawe pyły. Oblewało ciepłym tchnieniem pysznie rozwinięte drzewa i wspaniałe dywany aksamitnych roślin.

Była w powietrzu promiennosc, lenistwo nadchodzącego wieczoru, rozmarzająca ociężałość. Spokój wiał z natury w powodzi gorącego światła, bez podmuchu wiatru. Nagle w ciszę, maconą jedynie chórami ptaków i szeptem fontanny, wpadł inny głos.

Najpierw rozległ się turkot kół, tupot wielu koni, wreszcie zabrzmiały wesołe głosy ludzkie i zza gęstwiny krzewów wjechało na żwirowany podjazd pałacu kilka pojazdów. Pierwsze powozy zaprzężone w czwórki były poważniejsze, wolant i brek wypełniony po brzegi wyglądały weselej. Rozmowy i śmiechy dochodziły głównie z breku. Tam jasne kapelusze i suknie pań zaćmiewały sobą ciemne sylwetki panów.

Stefcia, cofnięta w głąb pokoju, patrzyła ciekawie.

Powozy stanęły przed gankiem, brek i wolanty zatrzymały się w szeregu i naprzeciw jej okna towarzystwo zaczęło wysiadać. Wtem spojrzeli w stronę wjazdu. Panie, wymachując parasolkami, wołały:

– Spóźniony! Spóźniony! pobiliśmy pana.

Po bielejącej wśród trawników drodze pędziła wyciągniętym klusem czwórka w lejc karych lśniących koni, kierowana przez ordynata. Siedział na koźle małego jak cacko wolancika i unosząc w górę kapelusz wymachiwał nim na powitanie. Na siedzeniu przyczepiony jechał stangret w czarnej liberii z czerwonym.

Waldemar obok breku zatrzymał konie prawie na miejscu, a łagodnie.

– Prześcignęliście mnie państwo – wołał rzucając lejce stangretowi. – Ale proszę pamiętać, że jadę cztery mile. To coś znaczy. Przy tym Brunon laź jak zółw, musiałem go zsadzić z kozła i wówczas zacząłem was dopędzać. To mi musicie przyznać.

– Konie pańskie ogrzewały nam plecy oddechem – zawołała młoda przystojna panna o minie zuchwałej i wesołych oczach. – Próbowałam je gładzić, ale zbrudziłam tylko rękawiczkę. O, niech pan patrzy!

I wyciągnęła do Waldemara rękę opiętą w jasną dunkę.

– Przepraszam, to nie brud, tylko pot koński. Moje konie są zawsze przeczyste – odrzekł Waldemar.

– Pan się kocha w swych koniach, prawda?

– Tak, to jedyna moja miłość.

– Bez wzajemności – dodała młoda panna z wdzięcznym uśmiechem.

– *Voyons, monsieur, vous avez de la chance!*⁷ – zawołała jedna z pań.

Waldemar uklonił się żartobliwie.

⁷ *Voyons, monsieur, vous avez de la chance!* (fr.) – Ależ pan ma szczęście!

– Jestem rozczulony, szanowne panie. Nie rozumiem tylko, po co tu stoimy. Rada starszych dawno w objęciach ciotki. Chodźmy również.

Towarzystwo znikło w ogromnych drzwiach głównej sieni. Waldemar szedł ostatni, trochę się ociągając. Kiedy mijał okno Stefcia, zwolnił kroku i spoza lip rzucił prędkie, ciekawe spojrzenie.

Stefcia myśląc, że wszyscy przeszli, wyjrzała również i spotkali się oko w oko.

Dostrzegła jego zaciekawienie. Na jej widok spowaźniał, zdjął kapelusz i poszedł dalej.

Stefcia postanowiła nie wychodzić. Nikt jej nie zna, a przynajmniej uniknie żartów Waldemara, może i docinków pani Idalii, bo to był dzień jej złego humoru.

Uszczęśliwiona własnym pomysłem, Stefcia zaczęła nucić. Z góry dochodził przytłumiony gwar głosów męskich i kobiecych. Czasem dźwięknął fortepian krótko, urywanie, jakby ktoś przechodząc uderzył parę akordów. Niekiedy zabrzmiał głos dominujący, a potem głośny wybuch śmiechu. Widocznie bawiono się tam doskonale.

Po godzinie do pokoju Stefcia wpadła Lucia zdyszana, zarumieniona i zaczęła mówić z niebywałym ożywieniem:

– Czy wie pani! Szesnaście osób przyjechało, licząc z Waldym. Jest i ciocia Ćwilecka z córką Michałą, bo Pauli nie ma w domu, i księżna Podhorecka, babka Waldemara, i młodzi księżta Podhoreccy, i Żyżemscy, i hrabia Trestka, i dużo, dużo gości.

– Skądże tak nagły zjazd?

– A tak sobie, taki traf. Wszyscy do nas jechali osobno i na drodze dopiero połączyli się. Najwięcej osób z Obronnego: jeden powóz i brek. Waldy jechał także do nas i jego spotkali. On nawet chciał prześcignąć brek, ale przegrał. Teraz się z niego panna Rita wyśmiewa.

– Któż to panna Rita?

– Szeliżanka. To jakaś kuzynka czy przyłatana siostrzenica księżnej Podhoreckiej, ale że sierota, więc stale mieszka w Obronnem. Ona tu bardzo często przyjeżdża, tylko teraz długo bawiła w Wiedniu i dlatego jej pani nie zna. Bardzo miła i wesoła.

Stefcia pomyślała, że to ta sama szykowna panna, która pokazywała Waldemarowi zbrudzoną rękawiczkę.

– To przystojna panna. Prawda?

– Tak, ładna. Waldy tego nie uznaje, ale mu trudno dogodzić. Pani ją dziś sama pozna.

– Ja nie wyjdę wcale.

Lucia otworzyła szeroko oczy.

– Czemu? Jak to! Pani nie wyjdzie? Ja już chwaliłam się panią przed wszystkimi...

– Ach, moja Luciu!

– A bo ja panią bardzo kocham.

Stefcia ucałowała dziewczynkę.

– Bardzo mię to cieszy. Dziś już sama bądź z gośćmi. Mnie masz na co dzień.

– E! co pani mówi! Ani dziadzio, ani Waldy nie zgodzą się nigdy na to, żeby pani sama została.

Stefcia wybuchnęła śmiechem. Zapewnienie Luci, że Waldemar chciałby ją widzieć, ubawiło ją. Szczególniej on! A zresztą, może: gdyby nie wyszła, nie miałby na kim ostrzyć dowcipu. Ta myśl rozweseliła ją. Jak rozdokazywane dziecko porwała Lucię wpół i zaczęła walcować po pokoju, śpiewając.

Lucia tańczyła zapamiętane. Obie prawie jednego wzrostu, fruwały, kręcąc się w wirze walca i śpiewając jedna przed drugą. Latał za nimi jasny warkocz Luci i trzepotała batystowa suknia Stefcia. Na twarzy jej wykwiwały rumieńce, fiołkowe oczy spod ciemnozłotawych obłon błyskały ogniskami, rozchylone różowe usta chwyciły szybko powietrze, skutkiem czego śpiewany głośno walc wychodził urywanie. To jednak nie przeszkadzało tancerkom.

Rozbawione, nie słyszały dwukrotnego pukania do drzwi, nie spostrzegły, że je ktoś otwiera. Dopiero po chwili w zawrocie tańca Stefcia osłupiała z przerażenia.